

**Gustaw Morcinek**

## **O Złotogłowcu, królu węzów z Goduli**

Była raz jedna księżna na cieszyńskim zamku, którą ludzie nazywali Czarną Księżną. Nosiała czarne suknie, a jej serce było także czarne, aczkolwiek udawała, że jest czerwone jak każde ludzkie serce. Żeby zaś poddani i dworzanie nie poznali, że jej serce jest skore do gniewu i złości, swoje słowa starała się smarować miodem, a na swych wąskich ustach miała przyklejony pocukrowany uśmiech. Uchodziła więc w całym państwie za dobrodajną księżną. Dziwiło tylko wszystkich, że nie chciała wyjść za męża. Dworzanie i dworki tłumaczyli jej, że to niedobrze, iż trwa w panieństwie. Bo z czasem zestarzeje się, umrze i nie pozostawi żadnego potomka, który by dziedziczył cieszyńskie państwo. A cieszyńskie państwo było rozległe, bardzo rozległe. Przyjeżdżali różni kawalerowie, księżęta, nawet jakiś królewicz, by starać się o jej rękę. A ona nie i nie! Powiadała, że nie chce nikogo widzieć, że jeszcze nie przyszedł ten, który jej przeznaczony.

— A któż to jest, mości księżno ? — pytali dworzanie.

— Nie wiem!

— Więc jak poznasz, że to będzie ten, który ci przeznaczony?

— Bo wtedy nadleci kruk i usiędzie mi na lewym ramieniu.

Wtedy dworzanie ogromnie się zdumiali, bo jeszcze nigdy nie słyszeli o czymś takim. A ponieważ bardzo się dziwili, więc z tego powodu nie mogli po nocach sypiać, tylko się przewracali i medytowali. W końcu uradzili, że trzeba się Czarnej Księżny zapytać, skąd ma taką dziwną wiadomość, że na jej lewym ramieniu usiędzie kruk, gdy przed nią stanie ten, który jej przeznaczony na męża. Ostatecznie, niech już tak będzie, ale pod warunkiem, żeby to był przystojny i szlachetnie urodzony kawaler, książe lub zgoła królewicz. Bo jeżeli stanie przed nią jakiś rzezimieszek, włóczęga, drapichrust, zbójnik beskidzki czy okpiświat lub inny ptak niebieski, to co ? Wtedy może przylecieć ów kruk, bo nie wiadomo co takiemu ptaszysku do głowy strzeli?... Przyleci i usiędzie na lewym ramieniu Czarnej Księżny, a ona rzeknie:

„Ten ci jest mój wybrany, i przez długie lata oczekiwany!” — i wpadnie w ramiona zdumionego drapichrusta lub innego rzezimieszka. I co wtedy ? Ha, co wtedy! Wtedy będzie bardzo źle! Poszli więc wielce strapieni do Czarnej Księżny i tak rzekli:

— Mości księżno! Powiedz nam, skąd ci się uroił ten jakiś gawron ?

— Wcale nie gawron, lecz kruk, i wcale mi się to nie uroiło, lecz stoi to napisane w kronice mego prapradziada, księcia Heliodora III. Zaraz was przekonam!

Poszła do swojej komnaty i wróciła z grubą księgą. Księga była tak ciężka, że z trudem ją uniosła. Otworzyła na trzydziestej dziewiątej stronie, gdzie gęstym gotyckim maczkiem było napisane:

*...a oto, gdy na lewym ramieniu naszej praprawnuczki usiędzie kruk, znak to będzie bez ochyby, iż zwiastuje jej naszą wolę. A nasza wola jest taka, by nasza praprawnuczka nie wychodziła*

*za nikogo za mąż tak długo, aż rzeczony kruk usiednie na jej lewym ramieniu w przytomności nieoczekiwanego przybusia. I wtedy nasza praprawnuczka poślubi tego przybusia, z jakiegokolwiek by on strony przyszedł...*

— Czytajcie! — rzekła księżna i podsunęła im księgę otwartą na stronie trzydziestej dziewiątej. Dworzanie nachylili się przeto nad ową dziwną księgą i zaczęli powoli sylabizować gotyckie literki, dukać mozolnie, układać je w zdania. Czytali przez jeden dzień, czytali przez dwa dni i dopiero na trzeci dzień zdołali wszystko dokumentnie przeczytać i zrozumieć. Wtedy rzekli jeden do drugiego:

— Ha, jeżeli taka wola prapradziadka, Heliodora III, to przepadło klepadło!

Znaczyło to tyle, że nie ma innej rady, jak pogodzić się z wolą prapradziadka Czarnej Księżny. I dobrze.

Z zamkowej góry, a jeszcze lepiej z zamkowej wieży było widać dalekie Beskidy, czyli góry tak piękne, że jeden nadworny poeta napisał siedem grubych ksiąg pełnych prześlicznych wierszy. Tymi wierszami opiewał urodę gór, przewanych Beskidami. Gdy je czytał Czarnej Księżnie i dworzanom, wtedy wszystkim się zdawało, że piją najdroższe wino węgierskie wprost z beczułki i że to ktoś na złotej harfie gra nadobnie i śpiewa słodką piosenkę o miłości. A w tych Beskidach były ogromne lasy i puszcze. W lasach zaś i puszczach beskidzkich żyły wilki, niedźwiedzie, węże i zbójnicy. Jelenie także i nawet zające. A poza tym nad Beskidami unosiły się jeszcze i zakreślały wielkie szumiące koła orły, jastrzębie, synogarlice, mysikróliki i wróble. Ale co najciekawsze: wilki pały owce beskidzkich górali, i ani jednej nie zjadły. Żywiły się lebiodą i pokrzywami. Niedźwiedzie zaś tańczyły na tylnych łapach, gdy zobaczyły górala lub góralkę. A jeżeli któryś z nich chciał zejść w dolinę, to tylko zawołał:

— Misiu! Misiu!

Wtedy taki niedźwiedź przychodził, góral lub góralka siadali mu na grzbiecie, chwyтали się jego kudeł, a niedźwiedź cwałował z nimi do doliny. A gdy wracali z doliny, drapał się z nimi po upłazach pod górę. Żmije zasypiały pasterzom w nocy na piersiach, zwinięte w kłębek. Jastrzębie kamraciły się z synogarlicami i wysiadywały ich jajka w gniazdach. Orły zaś z dzięciołami obstukiwały dziobami drzewa i szukały robaków za korą. Zbójnicy byli kudłaci i wąsaci, lecz zamiast pałek trzymali w dłoniach leluje, a za pasem zamiast noży mieli koziki kupione na odpuszcie u kramarza za pół złamanego szeląga. Nikogo nie napadali, nikogo nie krzywdzili, a gdy im wypadło zarznąć barana na obiad, żaden z nich nie chciał tego uczynić. Musieli wtedy losować. Wylosowany zbójnik, chcąc nie chcąc, zarzynał barana, lecz podczas zarzynania płakał tak rzewnie, że wszystkim zbójnikom krajało się serce na drobniutkie ćwierci. A gdy go jedli już upieczonego, jeszcze połykali słone łzy, które im ciekły z oczu. Nawet nie solili barana, bo ich łzy wystarczyły. Tacy więc zbójnicy mieszkali w Beskidach.

Na książęcym zaś zamku był jeden bardzo uczony mąż imieniem Archimedes, który wiedział, gdzie raki zimują, czego nikt nie wiedział w całym państwie cieszyńskim. Dlatego też był w wielkim poważaniu, a jego mądre słowa spisywali dwaj nadworni kronikarze w sporych foliałach oprawnych w świńską skórę. I ten mędrzec raz powiedział, że raj, o którym tak pięknie prawi zamkowy kapelan, znajdował się nie za siedmioma górami i siedmioma morzami, lecz właśnie w Beskidach. I gdyby owemu bardzo uczonemu mężowi

Archimedesowi chciało się szukać, toby z pewnością znalazł w puszczy beskidzkiej tę jabłoń, z której Ewa zjadła jabłko. Tyle że ta jabłoń już dzisiaj rodzi kwaśne płonki.

Czarna Księżna była tak bardzo zachwycona wierszami bladego poety i mądrościami nadwornego uczonego męża imieniem Archimedes, że raz po raz wychodziła na zamkową wieżę i patrzyła z niej na dalekie Beskidy. I pewnego razu postanowiła. Zwołała zamkową radę książęcą i rzekła:

— Muszę znaleźć w beskidzkiej puszczy tę rajska jabłoń, o której nam tak pięknie prawił mistrz Archimedes!...

Wtedy książęca rada jęła kiwać siwymi głowami z wielkiego zdumienia, bo jeszcze nikt jak żyw nie szukał w Beskidach rajskej jabłoni. A gdy przestali się dziwić i kiwać głowami, jeden z nich zapytał:

— Mości księżno! A co uczynisz, jeżeli znajdziesz ową rajska jabłoń?

— Zerwę z niej jabłko! I zjem... — dodała po chwili.

— A jeżeli to będzie płonka?

— To tylko kawałek nadgryzę...

I pewnego jesiennego dnia Czarna Księżna wybrała się z dworzanami do beskidzkiej puszczy na poszukiwanie rajskej jabłoni. Szukała, szukała, aż w końcu po wielu trudach dotarła na wielką polanę na takiej górze, która dzisiaj nazywa się Góra Barania. Na środku polany rosła jabłoń. Pod jabłonią zaś siedzieli zbójnicy wielce kudłaci i brodaci i śpiewali jakieś nabożne psalmy. Trzymali w lewych dłoniach leluje, a w prawych koziki kupione na odpuszcie u kramarza za pół złamanego szeląga. Czekali na barana, który piekł się na skraju polany. Baran był odarty ze skóry i nadziany na rożen, którym obracał najstarszy zbójnik i płakał, bo mu było żal barana. Gdy zbójnicy zobaczyli Czarną Księżną i jej dwór, ogromnie się uradowali, dośpiewali do końca psalm wielce nabożny, a potem pobiegli do wystraszonych dworzan. Pieniądzy albo barana! — wrzeszczeli i wywijali kozikami. Dworzanie chcieli bronić Czarną Księżną i siebie, już schylali się po kamienie, lecz najstarszy zbójnik zawołał:

— Co chcecie? Pieniądzy czy upieczonego barana?

I teraz dopiero dworzanie zrozumieli, że to zbójnicy o gołębih sercach, kudłaci i brodaci, pragną ich obdzielić pieniędzmi albo podzielić się z nimi baranem. Wtedy wystąpiła Czarna Księżna i zapytała zbójnickiego herszta, wskazując na jabłoń:

— Czy to jest ta rajska jabłoń, której szukamy, a z której Ewa zjadła jabłko?

— Tyś rzekła, mości księżno! — rzekł dwornie herszt i grzecznie się uklonił.

— To zerwij mi, kochany zbójniku, jedno jabłko z tamtej rajskej jabłoni!

— Już się robi, mości księżno, ale to nie są jabłka, lecz strasznie kwaśne płonki. Są kwaśniejsze niżeli ocet siedmiu złodziei!...

— Nic nie szkodzi! — rzekła Czarna Księżna. — Spróbuję kawałeczek ugryźć!

— Nie radzę, mości księżno, bo gdy ugryziesz, będziesz miała krzywą gębę! Nie wierzysz? Hej, Jano! — zawołał na jednego ze zbójników. — Pokaż swoją krzywą gębę mości księżnie!

Jano podszedł, a herszt wyjaśnił, że Jano złakomił się na tamto rajske jabłko, zerwał je, ugryzł kawałek i teraz ma za swoje! Jak mu wtedy skrzywiło gębę, tak wciąż jeszcze ma ją krzywą.

— To wezmę sobie tylko jedno jabłko na pamiątkę! — rzekła księżna.

— A to co innego! — zgodził się grzecznie herszt. Podszedł do jabłonki, podskoczył i zerwał najpiękniejszą płonkę podobną do zwiędłej, małej cebuli. A gdy ją podawał na dłoni Czarnej Księżnie, nadleciał kruk, zakrakał i usiadł na jej lewym ramieniu.

— Tyżeś to, mój umiłowany! — uradowała się Czarna Księżna i — prast — w wyciągnięte ramiona herszta.

I wtedy dworzanie ogromnie się zdumieli i znowu kiwali głowami, a potem orzekli, że stał się cud, bo kruk usiadł na lewym ramieniu Czarnej Księżnej, a wybranym jej stał się herszt beskidzkich zbójników.

— Teraz mam tyle słodczy w sercu — rzekła Czarna Księżna — że spróbuję tego rajskego jabłka!

I zanim herszt i dworzanie zdążyli jej przeszkodzić, ugryzła kawałek rajskego jabłka. Wszyscy myśleli, że skrzywi się jej gęba i że teraz będzie ją trzeba nazywać księżną Krzywoustą, a tu nic!... Księżna pogłaskała się po żołądku, cmoknęła i drugi raz ugryzła.

— Ależ to słodkie jabłko jak najśłodszy miód! — zawołała.

I znowu wszyscy ogromnie się zdziwili. I dworzanie, i zbójnicy, a najbardziej zdziwił się Jano z krzywą gębą. Nie zdziwił się tylko uczony mąż Archimedes, który przyjechał za książęcym orszakem na oślicy. Pod pachą trzymał kronikę prapradziadka, Heliadora III. Szybko poszukał w niej, zatrzymał się na stronie pięćdziesiątej drugiej i zawołał:

— Silentium, mości zbójnicy, i wy, dworzanie! Silentium, czyli zamknijcie jadaczki! Bo oto co napisał przesławny prapradziadek naszej księżny, książę Heliador, o rajskej jabłoni!... — i zaczął czytać powoli:

*...a gdy nasza praprawnuczka ugryzie jabłko z rajskej jabłoni, to ono nie będzie kwaśne jak ocet siedmiu złodziei, lecz słodkie jak beczka miodu. Z octu siedmiu złodziei zaś przemieni się w beczkę miodu, atoli wtedy gdy nasza praprawnuczka nareszcie ujrzy na swym ramieniu kruka, a przed sobą oblubieńca długo oczekiwanego. I koniec.*

Teraz już wszyscy wiedzieli, że spełniła się przepowiednia prapradziadka. Heliadora III, i każdy chciał spróbować rajskego jabłka, czy istotnie tak słodkie, jak beczka miodu. Rzucili się przeto wszyscy, i dworzanie, i zbójnicy, na jabłoni, wyleźli na nią i zaczęli zrywać jabłka. Najbardziej darł się do niej Jano z krzywą gębą. I wszyscy jedli, i smakowali, i cmokali, i gładzili się po brzuchach, lecz że byli nienasyeni, przeto wciąż zrywali pozostałe jabłka. I tak bardzo pchali się do jabłoni, że w końcu się pobili. I zaczęła się sroga batalia. Zbójnicy porzucili leluje i z wyciągniętymi kozikami rzucili się na dworzan, dworzanie zaś porwali kamienie i zaczęli ciskać w zbójników. A tu znienacka zakołowały nad nimi orły i zaczęły szpetnie krakać, i wylazły z lasu niedźwiedzie, a z drugiej strony wilki, a spod krzaków żmije, i wszystko to rzuciło się na walących się po łbach zbójników i dworzan. I kto wie, jak by się to skończyło, lecz dworzanie w okamgnieniu pogodzili się jako tako ze zbójnikami i zaczęli pracować niedźwiedzie, wilki i żmije, a na orły ciskać kamieniami. A potem rozeszli się. Zbójnicy

do lasu, Czarna Księżna z hersztem i dworzanami w dolinę. Na polanie pozostała połamana rajska jabłotka obrana doszczętnie z jabłek. I dobrze.

Stała się jednak w Beskidach rzecz dziwna. Bo aczkolwiek nadal były podobne do uśmiechu zamyślonej dziewczyny, gdy marzy o pierwszym kochaniu, i aczkolwiek nadworny poeta nadal pisał prześliczne strofy o ich urodzie, to w beskidzkiej puszczy coś się popsuło. Wilki zaczęły napadać na owce i barany pasące się na polanach i już nie chciały jeść lebiody i pokrzyw, tylko ostrzyły sobie zęby na mięso. Niedźwiedzie czyniły to samo. Porywały owce i barany, rzucały się nawet na ludzi, ciskały za nimi kamieniami i wrywały w złości młode dębczaki z ziemi. Orły, krogulce i jastrzębie rzucały się na wróble, mysikróliki, drozdy, ba, nawet na zające i młode sarny. A żmije, łajdaki, kryły się pod liśćmi paproci i usiłowały ugryźć człowieka w piętę. I gdy takie dziwy działy się w Beskidach, w Cieszynie odbywało się weselisko, jakiego Cieszyn jeszcze nie widział. Ogromnie się wszyscy radowali, że Czarna Księżna wyszła za herszta zbójnickiego. Herszt zbójnicki zaś, jak długo był kudłaty i brodaty, podobny był do prawdziwego zbójnika. Gdy jednak nadworny balwierz ściął mu kudły na głowie i gdy mu zgolił brodę i kłaki na gębie siedmioma brzytwami, i gdy dworska służba umyła go w największej beczcze, zmieniając w niej trzykrotnie wodę — wtedy herszt stał się całkiem przystojnym kawalerem. A gdy się następnie ubrał w jedwabne szaty, to każdy by pomyślał, że to nie herszt beskidzkich zbójników, lecz jeżeli już nie królewicz, to przynajmniej jakiś książę z zamorskiego kraju. Było więc wielkie weselisko na cieszyńskim zamku, jakiego jeszcze świat nie widział. Weselnicy jedli i pili, tańczyli i śpiewali. Zjedzono piętnaście wołów, wypito dwadzieścia beczek wina, a Czarna Księżna zdarła trzy pary trzewiczków, herszt zbójnicki zaś, mianowany teraz księciem, panem Ondraszkiem, zdarł cztery pary butów, gdyż oboje tak bardzo tańczyli. Na wesele przybyli także Ondraszkowi zbójnicy, a było ich dwunastu. Ci tańczyli z obuszkami, wywijali, podskakiwali pod złożony sufit i śpiewali o tym, jak w murowanej piwnicy tańcowali zbójnicy i kazali se pięknie grać, i na nóżki pozierać. Cieszyńscy mieszczanie byli przez trzy dni pijani, łazili po mieście, wodzili się pod ramię i śpiewali na cześć młodej pary, żeby żyła sto lat i jeszcze trochę dłużej. Nawet błądzący poeta o czarnych, trefionych włosach urznął się winem, wałęsał się po rynku i śpiewał piosenkę przez siebie ułożoną:

*Słodkie wino — dobry trunek,*

*Pije się je na frasunek,*

*Pije się je na pogrzebie,*

*Żeby dusza była w niebie.*

*Pije się je i na gody,*

*Pije stary, pije młody,*

*Piją nawet i anieli,*

*Bo chcą także być weseli...*

Piosenka tak bardzo podobała się mieszczanom, że po weselu pan burmistrz zwołał wszystkich radnych do ratuszowej sali, gdzie pospólnie uradzono, że blademu poecie postawią

pomnik na cieszyńskim rynku. I postawili. Dwunastu zbójników zaś poszło do lasu, a Ondraszek pozostał na zamku z księżną panią. I wszystko byłoby dobrze, ale Ondraszek tęsknił za Beskidami. Przeto gdy księżęcej parze urodził się syneczek, Ondraszek dosiadł czarnego konia i ukradkiem opuścił zamek, opuścił Cieszyn i pocałował do swych dwunastu kamratów, bo dosyć miał księżęcego żywota i miłsza mu była zbójnicka swoboda. Poza tym obrzydło mu życie na zamku i dlatego, że Czarna Księżna często tłukła go pantoflem lub zgoła warzechą, gdy poszedł do miejskiej winiarni, by grać w karty z mieszczanami, a potem wracał nad ranem do zamku na bardzo chwiejnych nogach. Czarna Księżna pomyślała, że dobrze, iż sobie pojechał Ondraszek w lasy, bo nie miała z niego wielkiej pociechy. Gdy siedział na księżęcym tronie, to ziewał, narzekał, że go boli brzuch z tych marcypanów, kołaczy i innych dobrych frykasów, które musiał jadać. A gdy przewodził księżęcej radzie to, zamiast radzić, trzymał w dłoni pajdę razowego chleba, w drugiej dłoni kawał słoniny, krajał ją zbójnickim kozikiem i zajadał. Pomyślała więc, że smoli na takiego małżonka, że teraz już ma syna, to jej wystarczy. A gdy syn urośnie na młodziana, ona zaś zestarzeje się, odziedziczy on cieszyńskie państwo i dobrze będzie. Synaczka nazwano na chrzcie Jasiem. I był śliczny jak malowanie. Jaś rósł i rósł, aż po kilku latach wyrósł na Janka, a gdy urósł już tak bardzo, że go wołano Janem, wtedy Czarna Księżna rzekła:

— Synu mój najmiłszy! Słuchaj, co ci powiem!

— Co mi powiesz, pani matko?

— Pojedziesz w świat i wyszukasz sobie na którymkolwiek księżęcym dworze jaką nadobną a cnotliwą dziewicę-księżniczkę, i ożenisz się z nią!

— Pani matko, już za późno!

— Co za późno?

— Bo już znalazłem taką nadobną a cnotliwą dziewicę...

— Gdzie ona ?

— Na naszym zamku, pani matko!

— Na naszym zamku? Cóż ty pleciesz? O jakiej ty dziewicy powiadasz? Któż to jest? Jak jej na imię?

— Nazywa się Hanka, a jest pasterką. Pasię nasze owce pod Cieszynem.

Gdy to rzekł, zdawało się, że w zamku nastął sądny dzień. W pierwszej chwili Czarna Księżna chciała zemdleć, lecz nie zemdląła, bo w komnacie nie było otomany ani łóżka, na które mogłaby upaść. A potem zaczęła krzyżeć i wymyślać Janowi bardzo szpetnie. Że z niego niedobry syn, że z niego niewdzięczny syn, że z niego stomilioński mamlas, jeżeli kocha się w zwykłej pasterce. A gdy mu tak nawymyślała, a Jan stał i ani mru-mru, w złości zdjęła z nogi pantofel i jęła go tłuc. Tak samo, jak kiedyś tłukła Ondraszka.

— Hola, pani matko! — rzekł wtedy Jan i przytrzymał jej rękę. — Nie zasłużyłem na to, byś mnie tłukła pantoflem!

Wtedy Czarną Księżną ogarnęła jeszcze większa złość i tak rzekła:

— Uczynisz tak, jak powiedziałam! Pojedziesz w świat, wyszukasz sobie księżniczkę i ożenisz się z nią!...

— Nie wyjadę w świat, pani matko! Ożenię się z Hanką!

— Pojedziesz! A Hankę każę oćwiczyć batogami i wygnać z zamku!

— Nie uczynisz tego, pani matko!

— Uczynię! Hej, służba! — zawołała.

Zbiegła się służba na jej wołanie i czekała rozkazu. A ona kazała przywieść pasterkę Hankę, osmagać ją batogami, a potem wypędzić z zamku. Wtedy Jan wydobył szpadę i zawołał, zagradzając drogę służbie:

— Kto mi się waży to uczynić, przebiję go jak robaka!...

Wtedy otwarło się czarne serce księżnej pani i rzekła:

— Jeżeli nie będziesz posłuszny mej woli, przeklnę cię, ty wyrodku!...

— Przeklnij, ale nie ustąpię! Hance przysięgałem miłość do grobowej deski i ona będzie moja, a nie jakaś tam księżniczka!...

— A ty, zbójnicki bękarcie! — wrzasnęła Czarna Księżna. — Przeklinam cię... — i tu wyrzekła jakieś dziwne zaklęcie w bardzo dziwnym języku, którego nikt nie rozumiał. I gdy wypowiedziała ostatnie słowo, na niebie zagrzmiało, w zamkową wieżę strzelił piorun, nastąpiła ciemność, dworzanie ze strachu upadli na posadzkę, a z księcia Jana stał się wąż Złotogłowiec ze złotą koroną na głowie.

— Masz! — syczała ze złością Czarna Księżna. — A teraz czołgaj się, ty wyrodku, i przepadnij na wieki...

I nastąpiła cisza.

Powoli się potem rozjaśniło, a gdy struchleli dworzanie, podnieśli głowy, ujrzeli, że Czarna Księżna teraz istotnie zemdlała i leży na posadzce, a z komnaty wyczołguje się ogromny wąż ze złotą koroną na głowie. Czołga się, czołga po schodach, czołga przez dziedziniec, czołga po zamkowym murze, przepływa rzekę Olzę i teraz czołga się drogą w kierunku Beskidów... A przy drodze siedziała na trawie Haneczka, pasła książęce owce i śpiewała. I gdy tak śpiewała, naraz ujrziała przed sobą ogromnego węża ze złotą koroną na głowie. Przestraszona, nie dokończyła piosenki, zerwała się i chciała uciekać, lecz wąż Złotogłowiec zawołał ludzkim głosem:

— Nie uciekaj, Haneczko! To jestem ja, twój Jaś... — i wszystko jej opowiedział.

— I co teraz? — biadoliła.

— Jesteś mi nadal wierna i miłująca?

— Jestem ci, Jasiu, nadal wierna i miłująca, i będę ci wierna i miłująca aż do grobowej deski, amen!

— To dobrze! — uradował się Jaś Złotogłowiec. — Ja teraz poczołgam się na górę Godulę, gdzie często przebywa mój ojciec, Ondraszek, a ty uczyn, co możesz, aby mnie odczarować...

— Dobrze, Jasieńku mój złoty! — rzekła Haneczka i gdy Jaś Złotogłowiec poczołgał się na Godulę, odbiegła książęce owce i udała się do wróżki.

Ta wróżka była bardzo mądra, mieszkała za rzeką Olzą w małej chałupce i nazywała się Babuleńka-Siwiuteńka. Bardzo pięknie się nazywała i ludzie ją szanowali, bo im pomagała i umiała wsze лихо odczynić. Mleko wracała krowom, a gdy komuś wyskoczył pypeć na języku z łakomstwa, umiała go także odczynić. Gdy ktoś miał tak zwane „świńskie oko”, czyli gdy wyrzucił się komuś taki malutki pryszczyk na oku, to go tylko trzy razy popłuła i już nie było „świńskiego oka”. Poza tym znała różne zaklęcia, umiała czytać z książki i gwiazd, wiedziała, co w trawie piszczy, nawet słyszała, jak trawa rośnie. Słowem, była to niesłychanie mądra wróżka. Przybiegła do niej Haneczka i tak rzekła:

— Moja złota Babuleńko-Siwiuteńko, ratujcie!...

— Co się stało, a że co? Zgubiła ci się owieczka?

Haneczka wszystko opowiedziała, co usłyszała od Jasia zamienionego przez Czarną Księżnę w węża Złotogłowca.

— Hm, hm, hm! — zafrasowała się Babuleńka-Siwiuteńka. — Będzie to trudna sprawa. Ale nie trać nadziei! Przyjdź jutro, a powiem ci, co masz czynić, by odczarować swojego Jasia.

Nazajutrz przybiegła Haneczka do Babuleńki-Siwiuteńkiej. A Babuleńka rzekła:

— Patrzyłam w gwiazdy, patrzyłam w czarodziejskie lustro, wrzuciłam trzy rozżarzone węgielki do wody, trzy razy splunęłam za siebie i już wszystko wiem...

— Co wiesz, moja złota Babuleńko?

— A więc słuchaj!... Na Górze Baraniej, na samym szczycie, rośnie rajska jabłoń. Jak długo rodziła płonki tak kwaśne, jak ocet siedmiu złodziei, było na świecie dobrze. Ludzie byli dobrzy, życzyli bliźnim ptasiego mleka, dobrorzeczyli sobie wzajemnie, pomagali jeden drugiemu, a zbójnicy beskidzcy chadzali po lesie z lełujami w dłoniach, śpiewali roraty i psalmy nabożne, a gdy mieli zarznąć barana, to płakali rzewnie z żalu. Lecz potem, za dziwną sprawą, płonki na rajskiej jabłoni zamieniły się w jabłka tak bardzo słodkie, jak beczka miodu. A to było wtedy, gdy Czarna Księżna spotkała Ondraszka, a kruk usiadł na jej lewym ramieniu... Wtedy Czarna Księżna zjadła jedno jabłko, a resztę jabłek oberwali zbójnicy i dworzanie, połamali gałęzie, złamali jabłonce koronę i jabłonka uschła... Teraz tam stoi sucha... Gnieźdzą się w jej konarach sowy i puchacze... I dobrze! — tu przerwała, bo musiała sobie trochę spocząć po takiej długiej przemowie. A gdy odpoczęła, zaczęła znowu:

— I dowiedziałam się w nocy, że jedynie ty, Haneczko, potrafisz odczarować Jasia Złotogłowca, dając mu do zjedzenia jabłko z owej jabłoni, którego kawałeczek ty zjesz najpierw...

— Dobrze, Babuleńko, lecz przecież mówicie, że rajska jabłonka umarła, że jest sucha...

— Otóż, o to chodzi! Jeżeli istotnie miłujesz Jasia...

— Miłuję nad życie!



— Nie przerywaj mi, bo zapomnę, co mam ci powiedzieć. Na czym to skończyłam?

— Że jeżeli miłuję Jasia...

— A tak! Jeżeli więc istotnie tak miłujesz Jasia, to musisz wrócić jej życie...

— W jaki sposób mam to zrobić?

— Musisz ją podlewać wodą ze źródła Olzy i swoimi łzami. Przez sześć dni w tygodniu codziennie przyniesiesz dzbanek wody ze źródła Olzy, w niedzielę zaś podlejesz ją swymi łzami, które w ciągu tygodnia uzbierasz do dzbanka. I tak długo będziesz to czyniła, aż rajska jabłoń ożyje, zakwitnie i zacznie rodzić jabłka. A jeżeli wytrzymasz...

— Wytrzymam, droga Babuleńko-Siwiuteńko!

— Nie przerywaj mi, bo zapomnę, co mam mówić! Na czym to stanęłam?

— Czy wytrzymam...

— Aha, już wiem. Więc jako powiedziałam. Ale to jeszcze nie wszystko. Na Górze Baraniej zlatują się wichry z całego świata. I one mogą jabłonkę do reszty połamać. Gdy zaś dowie się Czarna Księżna, a z pewnością się dowie, wyśle ludzi, by ścięli jabłonkę. I przyjdą wilki i niedźwiedzie, żeby cię pożreć...

— Cóż ja biedna wtedy pocznę? Wichrów nie wstrzymam, przed Czarną Księżną nie obronię jabłonki, przed wilkami i niedźwiedziami również się nie obronię!... Ach, dolaż moja, dola! — i rozpląkała się gorzko.

— Nic się nie martw, a nie płacz! Ja ci poradzę! Pójdiesz najpierw do króla wichrów

Chwista-Pośwista. Znajdziesz go na Babiej Górze w złotym zamku. Lecz zabierz z sobą młyński kamień i trzymaj się go mocno przed tronem króla wichrów, by cię nie zdmuchnął. Może bowiem kichnąć albo ziewnąć, i wtedy fiut! Już cię wichry zdmuchnie jak piórko! I uprosisz go, by jego wichry nie zbiegały się na Górze Baraniej, lecz, dajmy na to, na szczycie Stożka lub na Złotym Groniu, albo na Ochodzitej! Ale to mało. Musisz go prosić, by na twoje zawołanie przysłał sto, nawet więcej wichrów, by cię broniły przed złymi ludźmi...

— Przed Czarną Księżną...

— Tak jest! Przed Czarną Księżną, gdy będzie chciała ściąć rajska jabłonkę. A wilki i niedźwiedzie musisz pozyskać swoim sercem. Bo co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem, że nic łatwiejszego na świecie, jak pozyskać sobie dzikiego zwierza dobrym sercem. Człowieka rzadziej pozyskasz, bo będzie myślał, że masz głupie serce. Ale nie o tym chciałam mówić. O czym to mówiłam?

— Że wilki i niedźwiedzie mam pozyskać swoim sercem.

— Aha! Tak, tak! Dobrym sercem! To już wszystko, co chciałam powiedzieć.

— Dziękuję wam, złota Babuleńko-Siwiuteńko!

— Dobrze, dobrze! Nie dziękuj teraz! Podziękujesz, gdy odczarujesz swego Jasia. A teraz idź...

I Hanka udała się do króla wichrów, Chwista-Pośwista, na Babią Górę. Szła i szła, aż doszła do stóp Babiej Góry. A Babia Góra była strasznie wysoka i stroma. Na jej szczycie

błyszczał w słońcu przepiękny pałac, w którym królował Chwist-Poświst. Często wychodził on na najwyższą basztę i rozkazywał z niej wichrom, wiatrom, wietrzykom i zefirkom, co mają robić, gdzie lecieć, skąd dąć lub dmuchać. Kiedy wichry mają łamać lasy i roznosić dachy chałup, kiedy wietrzyki chłodzić spoconych żniwiarzy i zapylać kwiaty, a zefirki poprzedzać miękkim szelestem narodziny jutrzeźki na niebie. Wiatrom zaś polecał, kiedy mają przywieść deszcz, a kiedy burze, a kiedy mają rozpędzać bure chmury, a kiedy ścinać wodę na lód. Pod Babią Górą była wieś, a w tej wsi mieszkał młynarz o nazwisku Chyrtoń. Poszła Haneczka do niego prosić o stary kamień młyński. Młynarz był jednak strasznie chciwy i skąpy, i chociaż pod ścianą leżały uszczerbione młyńskie kamienie, nie chciał jej dać żadnego. Ponieważ jednak prosiła i prosiła, więc jej tak rzekł:

— Dobrze! Dam ci taki młyński kamień, ale wtedy, gdy będziesz u mnie służyła przez cały rok. W nagrodę możesz sobie jeden kamień zabrać.

Haneczka przez cały rok nosiła więc u młynarza worki ze zbożem i mąką, doglądała rozklekotanego młyna, pracowała od wczesnego rana do późnej nocy, a na obiad dostawała garnuszek rozwodnionego mleka i miseczkę kaszy, którą najpierw policzył młynarz. Żeby nie było za dużo, lecz równo siedemdziesiąt pięć ziarenek. Na śniadanie zjadała połowę miseczki pęczaku, którego ziarnka także policzył młynarz, czy nie ma ich pięćdziesiąt osiem zamiast pięćdziesięciu siedmiu. A na wieczerę otrzymywała trzy ćwierci miseczki fasoli. I to było wszystko. Jedynie w niedzielę i w wielkie święto dostawała jeszcze do obiadu główkę śledzia. Raz tylko pojadała sobie szcudrzej, gdy młynarzowi zdechł królik. Lecz potem zdechłego królika wypominał jej przez kilka miesięcy. A był tak przeraźliwie chudy, że musiał wejść dwa razy do izby, by można go było nareszcie zobaczyć. Chudy zaś był z tego skąpstwa, bo dla siebie także liczył krupy, fasole czy pęczak. Hanka sypiała w komórcie na wyrku, na przegniłej słomie, i często po nocach płakała, gdyż była głodna i bolały ją kości, a w żołądku jej burczało. I myślała nieraz, że porzuci służbę u młynarza i pójdzie w świat, dokąd ją oczy poniosą. Gdy jednak wspomniała sobie na Jasia Złotogłowca, postanowiła wytrwać do końca. I wytrwała.

Gdy minął rok, młynarz Chyrtoń pozwolił jej zabrać najbardziej uszczerbiony młyński kamień jako zapłatę za rok służby. Haneczka, chuda jak komar i słaba jak mucha, podniosła kamień i jęła go toczyć przed sobą na Babią Górę. A na drodze stał młynarz i trzymał się za chudy brzuch i rechotał ubawiony. Myślał ukontentowany, że tak głupiej stwory, która by za uszczerbiony kamień młyński służyła mu przez cały rok, jeszcze nie spotkał w życiu. Potem poszedł do komory obliczać talary, Haneczka zaś toczyła kamień na wysoką i stromą Babią Górę. Biedziła się nad kamieniem przez dwa miesiące i trzy dni. Po drodze wymykał się z jej dłoni i staczał w krzaki i ciernie. Wtedy wytaczała go z cierni, a ciernie kłuły jej dłonie i stopy, i znowu toczyła go na szczyt Babiej Góry. Żywiła się zaś jeżynami i grzybami. I chociaż dłonie i stopy miała poranione, jej miłość do Jasia była tak wielka, że za nic miała sobie te rany. I postanawiała wytrwać do końca. I wytrwała! Po dwóch miesiącach i trzech dniach wytoczyła nareszcie ów kamień na szczyt Babiej Góry, a ze szczytu do złotego zamku. Nikogo nie spotkała, a wszystkie drzwi były otwarte. W ostatniej komnacie dopiero ujrzała śpiącego Chwista-Pośwista. Leżał rozwalony na pierzynach, szary, w podartej odzieży, złota korona spoczywała obok niego na stoliku, a obok korony berło z dwoma jaskółczymi skrzydełkami. On zaś spał po obiedzie i chrapał. A z jego otwartych ust wymykał się taki sobie wicher. Nieduży. Haneczka nie wiedziała, co teraz uczynić. Połaskotała go jednak palcem po pięcie. Chwist-Poświst zbudził się i kichnął tak głośno, jakby ktoś z mózdzierza wystrzelił podczas

odpustu. Na szczęście Haneczka zdołała chwycić się młyńskiego kamienia i wicher jej nie porwał, chociaż zadał jak siedem zwykłych wichrów.

— Co chcesz? — zaświstał król wichrów i jał się drapać po rozkudłaconej głowie. Haneczka powiedziała, o co przyszła go prosić. Król wciąż się drapał i słuchał. A gdy skończyła, tak rzekł:

— Dziwna rzecz! Jeszcze nikt z ludzi nie dotarł do mojego zamku. Byli tacy śmiałkowie wielce zuchwali, lecz gdy tylko kichnąłem, wicher ich porywał i strącał w przepaść. A ciebie nie strącił, bo trzymasz się młyńskiego kamienia... Hm, dobry sposób! A skąd masz ten młyński kamień?

— Od młynarza Chyrtonia!

— A, od tego łajdaka! Znam go, znam!... Straszny skąpiec i chciwiec. Za co dał ci ten kamień?

— Musiałam u niego służyć przez cały rok za darmo...

— Za darmo? — wrzasnął Chwist-Poświst. — A żeby go wciórności! To łajdak! Zaraz każę moim wichrom, żeby mu młyn rozniosły na cztery strony świata... Bo, widzisz... Jak się nazywasz?

— Hanka!

— Bo widzisz, Hanko, strasznie nie lubię sknerów i chciwców. Bo ja to mam dłoń szeroką, gest szeroki, jestem może rozrzutnikiem, lecz mnie z tym dobrze. A ludziom? Czasem dobrze, a czasem źle... Ale gdy jednym bywa dobrze, innym źle, a to dlatego, bo jeszcze nikt się nie urodził, który by wszystkim dogodził... Tak to jest na tym świecie, Hanko!... A po coś tu przyszła, a że po co? Bo stoisz, a nic nie mówisz?

Hanka zmiarkowała, że król Chwist-Poświst jest dobrodusznym gadułą i chociaż podobny do straszdyła na wróble wiatrem podszytego, zacny to jakiś król.

— Jakże mam mówić, kiedy ty, królu, gadasz i gadasz...

— Co? Ja gadam? Cóż ty, dziewczyno, pleciesz?... Ja nic nie mówiłem. A tych kilka słów, które tu wyrzekłem, to się nie liczy. Ale powiedz mi, zaraz... zaraz... bo zapomniałem już, jak ci na imię!

— Hanka, mości królu!

— Hanka... Hm, ładne imię. Gdybym ja miał córkę, też bym ją nazwał Hanką. Ale córki nie mam, tylko samych obwiesiów. Te najstarsze — to wichry. Będzie ich ze dwie kopy. I straszne latawce. Po całym świecie ganiają. A te młodsze bajtla to wiatry. Tym tak bardzo się nie śpieszy... Bo wiesz, co to jest wiatr? No, powiedz, jeżeli wiesz!

— Nie wiem, mości królu...

— Aha, ty chcesz powiedzieć, że dużo wiesz, a tego nie wiesz... No, nic nie szkodzi, nie! Ja ci powiem, co to jest wiatr. Wiatr to jest jeden z moich smyków, a mam ich ze dwa tuziny, a może więcej. Trudno mi ich zliczyć, bo wałęsają się po świecie, robią w lesie szum, opowiadają przydrożnym wierzbom plotki z całego świata, ganiają obłoki na niebie... No, powiadam ci... Jak to się nazywasz, bo znowu zapomniałem ?

— Hanka, mości królu!

— A prawda, że Hanka... Ale to jeszcze nie wszystko. Prócz tych powsinogów, czyli wichrów, i prócz tych łeboniów, czyli wiatrów, mam jeszcze takie maleństwa, takie pomperliki... Nazywają się wietrzyki. Będzie tego z pół kopy. A na dodatek mam także najmniejsze smyki, tak zwane zefirki... W sumie posiadam kupę dzieci, że trudno mi je policzyć, i zapominam, jak się które nazywa. Porządne z nich smyki, bo mnie słuchają, jak się należy!... Ale czemu tak stoisz i milczysz ? Czemu nic nie mówisz?

— Bo nie chcę przeszkadzać, kiedy wasza królewska mość gada!

— Co? Ja gadam? Na niechby cię gęś kopła, dziewczyno... Jak to się nazywasz, bo znowu zapomniałem ?

— Hanka, mości królu...

— Aha! Hanka!... No, ładnie się nazywasz. Aż mi żal, że ja się tak nie nazywam! A masz grzebień?

— Mam, mości królu!

— A masz dobre serce?

— Nie wiem...

— Zaraz się przekonamy! Masz grzebień, to poczesz mi brodę i kudły na głowie!

Hanka jęła królowi czesać brodę i kudły na głowie. Cesała i cesała, aż pocesała. A gdy skończyła, król spojrział w lustro i zapytał:

— To jestem ja w tym lustrze ?

— Tak! To ty jesteś, mości królu!

— Nale, ludczkowie złoci! — mruzczał zdumiony. — Przecież nie mogę siebie poznać!... No, przystojnie teraz wyglądam. A masz ty... jak to ci na imię?...

— Hanka, mości królu!

— A, prawda! A masz ty, Haneczko, igłę z nicią?

— Mam!

— To połataj moje królewskie suknie!

Hanka nawlokła nitkę do igły i jęła łątać królowi suknie. Łatała, łątała, aż połatała. A gdy była gotowa, król stanął przed lustrem i zapytał zdumiony:

— Kto to jest w tym lustrze?

— To ty jesteś, mości królu!

— Hm, to dziwne! Nie mogłem siebie poznać. No, ale teraz wyglądam jak prawdziwy król. No nie?... Hanka rzekła, że wyglądam teraz istotnie jak prawdziwy król.

— Mości królu! — podjęła znowu. — A gdzie masz buty, żeby ci je wyczyściła.

Król Chwist-Poświst roześmiał się i o malutki włos wicher byłby porwał Hanke, lecz na szczęście zdołała chwycić się młyńskiego kamienia. Widział to król i tak rzekł:

— Trąba ze mnie zardzewiała, bo nie uważam! Już się nie lękaj, Haneczko, wichru, gdy będę kichał, ziewał lub śmiał się... Wtedy zawsze odwrócę się do ściany... A co do tych butów, widzisz... Ja jestem taki król bez butów! Jeżeli szewc może być bez butów, to czemu nie mógłby być król bez butów? No nie?... Więc nie będziesz mogła mi ich czyścić! A wiesz czemu ja i moje wszystkie smyki, te wichry, wiatry, wietrzyki i zefirki, nie mamy butów?

— Mości królu, ja dużo wiem, ale tego nie wiem! — rzekła lekko już ubawiona Hanka.

— No, słusznie, wszystkiego nie można wiedzieć. Ale powiem, czemu nie mamy butów. Bo tak latamy po świecie, że je już dawno pogubiliśmy. Już wiesz?

— Wiem, mości królu!

— No, to już dużo wiesz! Ale powiedz mi nareszcie, czego chcesz ode mnie?

— Już ci mówiłam, mości królu! Zaraz na początku!

— Ale ja już zapomniałem, co to mówiłaś! Powiedz jeszcze raz!

Hanka więc powtórzyła swą prośbę, żeby król Chwist-Poświst był tak bardzo dobry i polecił swym synom wichrom, by nie zlatywały się na Górze Baraniej, lecz na innej górze. Na przykład na Ochodzitej lub na Żłotym Groniu, albo też na Stożku...

— A dlaczego?

Hanka powiedziała dlaczego. Żeby wichry nie połamały jabłonki. Potem wszystko mu opowiedziała o Czarnej Księżnie, o Jasiu zamienionym w króla wężów Żłotogłowca, i o tym, że może go tylko odczarować jabłko zerwane z tamtej rajskiej jabłonki na Górze Baraniej, i że musi ją podlewać wodą z Olzy i swymi łzami...

— Dosyć, dosyć, bo już wszystko rozumiem! — przerwał jej Chwist-Poświst i jął wycierać oczy kułakiem, bo zamigotały w nich łzy. Nieduże, ale zawsze łzy.

— Coś mi do oka wpadło... — zełgał, bo trochę się zawstydział swego wzruszenia.

A potem tak jeszcze powiedział:

— Wszystko tak się stanie, jak prosiłaś. Wichry już nie będą się zlatywały na Górze Baraniej! Niech się zlatują na Ochodzitej! Tam mają dosyć miejsca. A gdy będziesz potrzebowała mojej pomocy, to oto masz... — i zerwał z berła jedno jaskółcze skrzydełko i podał jej.

— Weź, a gdy będziesz potrzebowała mojej pomocy, zatrzepotaj tym skrzydełkiem nad głową, a już jestem obok ciebie. A ze mną cały regiment moich smyków wichrów, wiatrów i tak dalej... Całą bandę swych synów, synków i syneczków przywiodę... A gdy byłoby lato bardzo upalne i tej wody z Olzy i tych łez by nie starczyło, uczyn tak samo... Zatrzepotaj skrzydełkiem nad głową, a wtedy pošlę kilka wichrów. One przygnają obłoki najbardziej opęczniałe deszczem, ściągają je nad Górę Baranią, a ty kijaszkiem zrobisz w nich dziury, w tych obłokach, i deszcz poleje się na twoją rajską jabłonkę... A wiesz, czemu to uczynię?

— Mości królu, ja dużo wiem... — ... ale tego nie wiem!

— Wiesz, tylko wstydzisz się powiedzieć. Ale nie trzeba się wstydzić, lecz radować z tego, że się ma dobre serce... No, teraz już idź... Nie! Jeszcze nie! Zawołam dwa wichry. Jeden weźmie cię na plecy i zanieś tam, dokąd zechcesz. A drugiego pošlę do tamtej doliny, w której

mieszka ten przegrzeszony łajdak Chyrtoń, i niech wichur roznieś jego młyn za karę, że tak cię oszukał...

— Nie czyń tego, mości królu!

— Dlaczego? Przecież to łajdak skończony, oszust, cygan, pijawka...

— Ja wiem. Ale ja nie chcę zemsty. Bo ja już dawno przebaczyłam.

— Głupia jesteś! — zachnął się król. — To znaczy, chciałem powiedzieć, że jesteś mądra i masz bardzo dobre serce, ale ludzie, a zwłaszcza tamten łajdak, powiedzą, że jesteś głupia i że twoje serce jest także głupie...

— Niech mówią...

Król spojrział na Hankę, podrapał się za uchem i rzekł:

— Słusznie! Wszak psie głosy nie idą pod niebiosy! Potem wyszedł na wieżę, zagwizdał na palcach i w tej samej chwili nadleciał wielki wichur.

Hanka usiadła mu na grzbiecie, a wichur poszybował w dolinę.

— Gdzie cię zanieść? — zapytał.

— Na Górę Baranią, jeżeliś taki dobry!

Ponieważ wichur był taki dobry, więc zaniósł ją w okamgnieniu na Górę Baranią, zleciał leciutko na ziemię, a Haneczka pięknie mu podziękowała i zeskoczyła z jego grzbiecia. Wichur poleciał na skraj świata, Haneczka zaś bardzo się zasmuciła, gdy ujrzała suchą, połamaną jabłonkę. A że bardzo miłowała Jasia, przeto jeła co dnia schodzić do źródeł Olzy z dzbankiem, nabierała wody, wracała i podlewała jabłonkę. A ponieważ bolała nad nieszczęsną dolą Jasia, przeto płakała i łzy zbierała do dzbanka. Przez cały tydzień. Gdy przyszła niedziela, podlewała jabłonkę swymi łzami. I stał się cud nad cudami. Oto uschnięta i połamana jabłonka zaczęła się pomaleńku zielenić. Wypuszczała drobnutkie listeczki, wypuszczała pączuszki, listeczki przemieniały się w liście, pączuszki w pączki i jednego dnia stała się pełna liści i pełna różowego kwiecia. Miała teraz Hanka wielką radość w sercu, że doczeka się jesieni, gdy urosną na jabłonce jabłka. Wtedy wyzwoli Jasia! Wilków już się nie bała, nie bała się niedźwiedzi, gdyż miała dobre serce. Bo gdy jednego razu wracała z dzbankiem wody nabranej ze źródła Olzy, ujrzała na ścieżce wielkiego niedźwiedzia. Niedźwiedź stękał i lizał łapę. Widać bardzo go bolała, bo nawet nie zwrócił uwagi na Haneczkę. Ona zaś podeszła bliżej i ujrzała, że w łapie niedźwiedzia tkwi wielki kolec, i że dokucza biedakowi, który na próżno usiłuje wylizać go językiem. Nic nie mówiąc podeszła do niedźwiedzia, ujęła kolec i wydobyła go z jego łapy. Niedźwiedź odetchnął z ulgą i rzekł:

— Powinienem cię pożreć, bo jestem niedźwiedziem, lecz że masz dobre serce, nie zjem cię! I pamiętaj! Gdy będziesz w biedzie, zawołaj mnie, a przyjdę z moimi kamratami z pomocą. Bo ja jestem królem beskidzkich niedźwiedzi.

— O, dziękuję ci, mości królu niedźwiedzi. A jak mam cię zawołać?

— Zawołaj trzy razy: Misiu! Misiu! Misiu!...

— Dobrze! — rzekła Hanka i była rada, że niedźwiedzi król stał się jej przyjacielem.

Innym razem, gdy wracała z wodą z doliny, posłyszała, że w gęstwinie coś skomli, jęczy, narzeka. Rozchyliła gąszcze i ujrzała ogromnego wilka. Leżał na trawie, a lewą tylną łapę miał uwięzioną w zębatych żelazach. I łapy nie mógł wyrwać, bo straszliwe zębce żelaza wbiły się w kość i trzymały. Wtedy Hanka, niewiele myśląc, ułamała grubą gałąź, włożyła między zębce, rozwarła je i uwolniła wilka. Wilk przestał skomlić i rzekł:

— Powiniennem cię pożreć, bo jestem królem wilków, lecz nie uczynię tego, bo mi uratowałaś życie!... Ja tam dużo nie lubię gadać, lecz tyle ci tylko powiem, że chociaż mam wilcze serce, to bywa ono nieraz lepsze od ludzkiego. Gdy będziesz w potrzebie, gdy będą ci grozili i czyhali na ciebie ludzie o złym sercu, zawołaj mnie, a już się z nimi policzę!

— O, dziękuję ci, wilczy królu! A jak mam na ciebie zawołać?

— Zawołaj trzykrotnie: Wiloszku, wiloszku, wiloszku! — a już jestem w tym oka mgnieniu z moimi poddanymi na miejscu! I niech wtedy tamci ludzie z wilczymi sercami... przepraszam!... chciałem powiedzieć, z ludzkimi sercami, polecą swe parszywe dusze Bogu!... — rzekł trochę rozgniewany.

Ponieważ jednak jego łapa krwawiła, przeto Hanka rozdarła koszulę, obmyła ranę wodą przyniesioną ze źródła Olzy, przewiązała ją i wilk poszedł kulejąc, a Hanka wróciła, by nabrać nowej wody z Olzy. I byłoby wszystko dobrze, bo na jabłonce z kwiatów uczyniły się małe jabłuszka. Lecz potem przyszła ogromna susza, słońce było skwarne, deszczu ani kropli i chociaż Hanka biegała kilka razy na dzień w dolinę po wodę i podlewała, jabłonka jęła usychać. Przypomniała sobie jednak Hanka, co jej powiedział król wichrów. Stała pod jabłonką, zatrzepotała jaskółczym skrzydełkiem i w tej samej chwili stanął przed nią król Chwist- Poświst.

— Czego sobie życzysz... Jak to się nazywasz, bo zapomniałem.

— Hanka, a pragnę cię prosić o deszcz!

— A tak, Haneczka! Już się robi! — gwizdnął na palcach i w tej samej chwili zerwały się wichry, spędziły z krańca świata czarne obłoki napęczniałe dżdżem, przygnały je nad jabłonkę, a gdy już były bardzo nisko, Hanka jęła je dziurawić patykiem. Robiła w nich dziury jak w worze, a z dziur lał deszcz tak obfity, że jabłonka na poczekaniu ożyła. I było dobrze.

Tymczasem Czarna Księżna na cieszyńskim zamku dowiedziała się, diasi wiedzą od kogo, że Hanka usiłuje odczarować króla węzów, Złotogłowca. A że jej serce było czarne jak smoła i pełne robaków, przeto zwołała radę książęcą, żeby postanowiła, co uczynić, by przeszkodzić Hance w odczarowaniu Złotogłowca. I zaczęli wszyscy radzić. Radzili i radzili przez trzy dni, aż w końcu uradzili, że jedynym sposobem, mogącym Hance przeszkodzić w odczarowaniu Złotogłowca, jest ścięcie jabłonki na Górze Baraniej. Taki projekt podał uczony mąż Archimedes, który przyniósł z sobą kronikę księcia Heliodora III i na stronie sto dwunastej przeczytał:

...a jeżeli rajskie jabłko komukolwiek stałoby na drodze do sławy lub sprzeciwiała się woli książęcej, należy ją ściąć i kropka!

Czarna Księżna kazała więc swym dworzanom ostrzyć siekiery i topory, a gdy je naostrzył tak bardzo, że można było się nimi golić, zabrała wszystkich, siadła na konia

i poprowadziła ich na Górę Baranią. Hanka nie byłaby nic wiedziała, co się święci, lecz jeden z dwunastu Ondraszkowych zbójników przybiegł do niej i tak rzekł:

— Haneczko, źle!

— Dlaczego źle, mój złoty zbójniku?

Wtedy zbójnik, a był to Jano z krzywą gębą, jał opowiadać dziwy, przedziwy. Oto, że ich herszt Ondraszek także boleje, iż jego syn został przez Czarną Księżną zamieniony w węża Złotogłowca, że często spotyka się z nim na górze Goduli, że Ondraszek już teraz nie chodzi zbijać w doliny, lecz że zbudował sobie taką chałupkę na Goduli, taką pustelnię. I w tej pustelni albo wymyśla i klnie na Czarną Księżną, albo klepie pacierze, śpiewa godzinki i psalmy, a w południe odwiedza swego syna, Janka, zamienionego w węża Złotogłowca. I że tenże Ondraszek kazał swym dwunastu kamratom, by pilnowali dróg i ścieżek wiodących na Górę Baranią, gdyż wie, iż Hanka podlewa łzami i wodą z Olzy uschniętą rajską jabłonce, której jabłko powinno odczarować Złotogłowca. Więc zbójnicy pilnują wszystkich dróg, ścieżek i miedz wiodących na Baranią Górę, by jaki zły człowiek nie uczynił krzywdy rajskiej jabłonce...

— To wy wiecie, że ja tu jestem przy jabłonce? — zdziwiła się Hanka.

— Ho, ho! My dużo wiemy!... I mamy przykazanie od naszego hetmana Ondraszka, by cię bronić w razie potrzeby! Zbójników nie musisz się więc lękać, niedźwiedzi nie musisz się lękać, bo zawarłaś pakt przyjaźni z królem beskidzkich niedźwiedzi, wilków nie musisz się lękać, bo zaprzyjaźniłaś się z samym wilczym królem, wichrów nie musisz się lękać, bo sam król wichrów, Chwist-Poświst, ma dla ciebie dużo serca, lękać musisz się tylko ludzi... Takich jak Czarna Księżna.

— Ale co teraz ?

— Jak to „co teraz”?

— Mówiłeś przecież, złoty zbójniczku, że jest źle!

— Źle jeszcze nie jest, ale mogłoby być źle, gdyby nas nie było!

— Więc powiedz, co mi grozi ?

I teraz dopiero Jano z krzywą gębą powiedział, że od Cieszyna nadciąga cały regiment drwali z wyostrzonymi siekierami i toporami i że ich wiedzie Czarna Księżna na czarnym koniu, i że za godzinę, za dwie już tu będą, lecz ich niedoczekanie!... Niech tylko się pojawią na Górze Baraniej!...

— A teraz biegnę po kamratów, a ty, Haneczko, musisz sposobić się także do obrony jabłonki! Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, to wiesz, co masz uczynić!

— Wiem! Wezwę króla wichrów na pomoc, wezwę niedźwiedzia i wilka na pomoc.

Nie trwało ani godziny, a tu Haneczka widzi, jak pod szczyt Góry Baraniej wyłażą zbójnicy z buławami w rękę, słyszy, jak zgrzytają zębami i jak szpetnie klną, i widzi jeszcze, jak wszyscy kryją się w krzakach przyczajeni i sposobią się do srogiej batalii. A nie trwało ani drugiej godziny, a tu pod Górę Baranią wali ogromny regiment drwali z wyostrzonymi siekierami i toporami, a wiedzie ich Czarna Księżna na czarnym koniu i popędza ich batogiem,



i krzyczy na nich. Drapią się po stromym stoku, staczają, znowu drapią, a gdy się w końcu wydrapali, trochę odsapnęli. Potem napluli w dłonie, roztarli i na znak Czarnej Księżnej pobiegli do rajskiej jabłonki. I wtedy stała się rzecz dziwna, przedziwna! Bo Haneczka zatrzepotała jaskółczym skrzydełkiem nad głową, zawołała trzy razy:

— Misiu, misiu, misiu!... — zawołała trzy razy: — Wiloszku, wiloszku, wiloszku!... — i co się teraz działo! A tu zbójnicy wyskoczyli z krzaków z pałkami, a tu zleciały się wichry, a tu zaryczały niedźwiedzie, a tu zawyły wilki i jak to wszystko nie rzuci się na Czarną Księżną, na drwali i dworzan — nastał sądny dzień! Wrzask, pisk, krzyki, lamenty, urwanie głowy! Wichry wyją jak wszyscy diabli rozjuszeni i ciskają piaskiem w ślepią napastników, i zwalają ich na ziemię lub zgoła strącają z Góry Baraniej, niedźwiedzie ryczą jak tysiąc diabłów i skaczą napastnikom do gardeł, wilki rwą zębami napastników za spodnie, za łydki i za pośladki, a zbójnicy wrzeszczą i tłuką drwali pałkami po czerepach!... I powstała taka sroga zawierucha, że aż strach!... I nie trwało ani pół pacierza, a Czarna Księżna uciekała na kulawym koniu, a za nią uciekali przerażeni dworzanie i drwale. Wrzeszczeli, jęczeli, beczeli, siekiery i topory pogubili, a za nimi sadziły wilki z niedźwiedziami, za wilkami i niedźwiedziami gnali zbójnicy, a za nimi leciały wichry... I gdy tamte wrzaski i krzyki utonęły w puszczy, nastąpiła ogromna cisza. A cisza była taka, że aż w uszach dzwoniło. I dobrze. Haneczka wiedziała, że teraz już nie przyjdą drwale i książęcy dworzanie, żeby ściąć rajską jabłonkę. Podlewała ją więc jak dotąd wodą z rzeki Olzy i w niedzielę swymi łzami, a jabłka na rajskiej jabłoni dojrzewały i stawały się z dniem każdym coraz piękniejsze. Przyszedł Jano z krzywą gębą i zapytał:

— A co teraz?

— Nie wiem, dobry zbójniczku, co teraz? Martwię się, bo nie wiem, które jabłko urwać...

— Chyba to najpiękniejsze!

— ...i nie wiem, jak je wręczyć Jasiowi zamienionemu w węża Złotogłowca. Mógłbyś, Jano, zejść w dolinę i zapytać się Babuleńki-Siwiuteńkiej, co mam teraz czynić?

— Już się robi! — rzekł Jano i poszedł w dolinę pod Cieszyn do wróżki Babuleńki-Siwiuteńkiej. Wrócił jeszcze tego samego dnia pod wieczór.

— Babuleńka-Siwiuteńka powiedziała tak: „Niech Haneczka wypuści osy i pilnie patrzy, na którym jabłku siadają. Będzie to znak, że tylko to jedno jabłko jest słodkie, a wszystkie inne kwaśne jak ocet stu siedmiu złodziei. I niech to jabłko zerwie, ale to musi być w dzień świętego Jana. I niech z tym jabłkiem idzie nad Olzę, tam, gdzie jest największe płoso, czyli głębina. To jest pod górą Kiczera. I tam niech czeka. A o północy w noc świętojańską przyczołga się z Goduli wąż Złotogłowiec, by się w Olzie obmyć. Wtedy Haneczka podejdzie, ugryzie kawałek jabłka, poda resztę Złotogłowcowi, no i będzie po paradzie!...”

— No, to dobrze! — rzekła Haneczka i pięknie podziękowała zbójnikowi.

— Ale skąd ja wezmę osy? Boć nie ma ich tu na szczycie Góry Baraniej.

— Nic się nie martw! Ja ci przyniosę z pół kopy os!

— Nie czyń tego! Pokłują cię!

— Ho, ho! Rzekł Jano z krzywą gębą i Haneczka wiedziała, że jeżeli „ho, ho!”, to wszystko w porządku. Osy nie pokłują zbójnika. I Hanka doczekała się dnia świętego Jana. I chociaż w dolinie jabłka jeszcze nie dojrzały, jabłka na rajskiej jabłoni były już śliczne, rumiane, duże,

że aż ślinka szła do ust na ich widok. A było ich bardzo dużo. I Hanka wiedziała, że wszystkie są kwaśne, lecz tylko jedno wśród nich jest słodkie. Czekąca więc na zbójnika z osami. Przyszedł, gdy słońce stało najwyżej na niebie. W dłoni niósł jakiś szary, brzęczący mieszek. Rozwiązał go pod jabłonką i z mieszka wyleciał regiment os. Osy latały koło jabłonki, latały, próbowały to tego, to tamtego jabłka, lecz rychło się krzywiły, spluwały, uciekały i brzęczały rozgniewane. Aż w końcu jedna znalazła słodkie jabłko. I zaczęła je oblatywać, a inne osy za nią. Potem usiadły na nim, zapuściły takie maluteńkie ryjki i zaczęły ssać przesłodki sok. Na to czekali Jano i Haneczka. Jano wylażł na jabłonkę i chociaż osy były złe i kłuły go, odpędzał je czapką i zerwał tamto jedno jedyne słodkie jabłko. Podał je Haneczce. Haneczka wzięła je i pośpieszyła w dolinę nad rzekę Olzę pod Kiczerą. Śpieszyła się, by zdążyć na północ na miejsce. A nie wiedziała, co się tymczasem działo na cieszyńskim zamku. Oto Czarna Księżna zwołała znowu radę książęcą. Wszyscy zaś radni byli podobni do kupy nieszczęścia, do żebraków, do kalwaryjskich dziadów, gdyż kuleli, mieli łby obwiązane, stękali, gdy mieli usiąść, kwékali, a guzy mieli na głowach tak duże, jak dynie. Czarna Księżna zaś miała podbite oko. I gdy cała ta zboląta i potłuczona banda zasiadła ze stękaniem na krzesłach, a Czarna Księżna na tronie, przyszedł Archimedeles w śmiesznej spiczastej czapie na głowie, z grubą księgą pod pachą. Zaczęła Czarna Księżna zboląłym głosem:

— Radźcie, dworzanie, co robić, by Złotogłowiec nie był odczarowany. Jabłonki nie mogliśmy ścinać, bo... No, bo nie mogliśmy!

— Nie mogliśmy! — zajęczeli wszyscy dworzanie i jęli się macać po łbach, po kościach i stękać.

— Ta wiedźma, Hanka, z diabłami trzyma do kupy! — rzekł jeden z dworzan.

— Nic mnie to nie obchodzi, czy trzyma z diabłami. Stuknijcie się w wasze łby zakute i powiedzcie, co czynić?

Wtedy wszyscy stuknęli się w swoje łby zakute i wszyscy wrzaśli, bo ich łby były potłuczone, posiniaczone, obolałe, pełne guzów tak dużych, jak dynia. Lecz nic nie wystuknęli ze łbów.

— Ja wiem! — rzekł Archimedeles.

— To gadaj, co wiesz! — rozkazała Czarna Księżna.

— Wyczytałem, księżno pani i ty wysoka rado, wyczytałem w gwiazdach, że w noc świętojańską wąż Złotogłowiec pójdzie się kąpać w rzece Olzie pod Kiczerą. Zdejmie z głowy koronę i położy na brzegu. Trzeba nam wyszukać kogoś takiego, kto by tam poszedł o północy i tę koronę ukradł Złotogłowcowi. I wtedy przepadło klepadło!...

— Przepadło klepadło! — westchnęli wszyscy dworzanie z ulgą.

— Cicho! Silentium! — wrzasnął Archimedeles. — Jeszcze nie skończyłem. Bo gdy Złotogłowiec nie będzie miał korony na głowie, nic, ale to nic nie potrafi go już odczarować!

— Przepadło klepadło! — uradowała się Czarna Księżna. — Ale kto z was pójdzie w noc świętojańską pod Kiczerę, by ukraść Złotogłowcowi koronę? Nikt nie chciał pójść. Wtedy uradzono, że trzeba wysłać kogoś takiego, kto by się zlakomił na mieszek talarów. Bo za pół mieszka talarów także nikt nie pójdzie. Wiadomo, Złotogłowiec jest królem węży, zmij,

jaszczurek i ropuch, a one mogą człowiekowi zrobić krzywdę. I musi to być ktoś tak bardzo chudy, żeby było trzeba dwa razy popatrzeć, by go nareszcie ujrzyć.

— Wiem! — zawołał jeden z dworzan. — Jest taki młynarz pod Babią Górą. On jest tak chciwy, że gotów gnać wesz do Wiednia za złamany szeląg. A jest tak chudy, że trzeba dwa razy popatrzeć, by go wreszcie zobaczyć.

I dobrze! Posłano więc po młynarza Chyrtonia. Przyszedł Chyrtoń na cieszyński zamek i rzeczywiście, musiał dwa razy wejść do komnaty Czarnej Księżnej, zanim go ujrziała. Zgodził się chętnie, by za mieszek talarów ukraść złotą koronę Złotogłowcowi.

— A mogę tę koronę potem zabrać? — zapytał przezornie.

— Możesz!

— A mieszek talarów dostanę zaraz?

— Dostaniesz zaraz!

I młynarz Chyrtoń w noc świętojańską powędrował z mieszkem talarów nad Olzę pod Kiczera. Usiadł w krzakach i czekał. A gdy już zbliżała się północ, zauważył, że jakaś biała postać zakrada się nad brzeg Olzy. Wytrzeszczył ślepią i dostrzegł w księżycu, że to Hanka!...

— A to psiawełna! — zaklął szpetnie. — Przyszła, żeby mi ukraść złotą koronę!...

I jeszcze bardziej się zacaił. Gdy północ wybiła na dalekim zegarze kościelnym, skąd się weź, to się weź, czołga się po łące do rzeki ogromny wąż ze złotą koroną na głowie. A całe regimenty żmij, jaszczurek, padalców, żab i ropuch wałają za nim hurmą. Złotogłowiec złożył koronę na brzegu i — plums! — do Olzy. Na to tylko czekał młynarz Chyrtoń. Skoczył, porwał koronę i w nogi! Zauważył, że Hanka coś krzyknęła, lecz nie oglądał się, tylko gnał przed siebie. A tu naraz słyszy jakiś ogromny ryk, kumkanie, rechotanie, i nim się spostrzegł, już go otoczyły żmije, węże, jaszczurki, żaby i ropuchy, zagroziły mu drogę, zwały się na niego. Przewrócił się, a żmije, węże, jaszczurki, żaby i ropuchy obsiadły go i tak długo kąsały, kłuły i szczypały, że młynarz ani się spostrzegł, a już był nieboszczykiem. Potem zabrały mu koronę z zaciśniętych paluchów i potoczyły ją do swego króla Złotogłowca. A Złotogłowiec już wyczołgał się z Olzy. Wtedy podeszła do niego Haneczka i rzekła:

— Janku! Oto mam jabłko! Jabłko z rajskiej jabłoni! — i ugryzła kawałeczek, a resztę podała Złotogłowcowi. Kiedy ten także ugryzł, stał się cud nad cudami!... Bo wąż Złotogłowiec w tej samej chwili przemienił się w ślicznego młodziana. Trudno opisać, co się wtedy działo. Żmije, węże, jaszczurki, żaby i ropuchy tańczyły z radości, Jaś dziękował Haneczce. Haneczka zaś płakała ze szczęścia... Potem oboje udali się w góry, a po drodze zrywali kwiecie paproci. Jaszczurki, węże, żmije, padalce, żaby i ropuchy odprowadziły ich na skraj puszczy, a potem już szli oboje w księżycu, uradowani i szczęśliwi, on ze złotą koroną na głowie, ona z kwieciami paproci w dłoni i z ogryzkiem rajskiego jabłka. A gdy tak szli, rozświecił się księżyc prawdziwym srebrem i srebrem wykładał im drogę. A słowiki rozśpiewały się nad podziw, a kwiaty pachniały, a z łąk unosiła się srebrna mgła i pachniała sianem, a rzeka Olza dzwoniła w srebrne dzwoneczki i srebrem migotała, a utopce wystawiały mordki z rzeki i mówiły:

— Patrzcie, patrzcie, ludczkowie złoci! Księżę Jaś idzie z Haneczką!

I szli tak, i szli, aż przyszedli do beskidzkich lasów. Nie chcieli bowiem wracać do Cieszyna, gdzie panowała Czarna Księżna. Wyszli zbójnicy z lełujami w dłoniach i zaśpiewali na widok Jasia i Haneczki jakiś niesłychanie wzniosły psalm dziękczynny. Wyszły niedźwiedzie i łąsiły się, i podsuwały łby pod dłonie Hanki i Jasia, i domagały się pogłaskania. Wyszły wilki z puszczy i przypadły do nóg Hanki i do nóg Jasia, kiwały ogonami i popiskiwały z ukontentowania. A wichry na Ochodzitej zwiedziały się, że idzie Hanka z Jasiem, przemieniły się w leciutkie zefirki i jęły szumieć w koronach drzew, co robiło wrażenie, że ktoś gra na harfie. I gdy tak szli, posłyszeli zniecka dzwony. Dzwony były ze wszystkich cieszyńskich kościołów, narzekały żałośnie, jęczały.

— Czemu dzwony biją tak żałośnie? — zapytał Jaś Hanki, a Hanka Jasia.

— Zaraz się dowiemy! — rzekł jeden z wichrów i pognął ze świstem w kierunku Cieszyna. Nie trwało pół pacierza, a już był z powrotem.

— Czarna Księżna umarła! — zaświszczał i zatańczył jakiegoś obertasa.

Przyleciał drugi wicher, który był pognął za swoim kamratem, i zaświszczał:

— Czarna Księżna umarła, bo dowiedziała się od Archimedelesa, żeś, Jasiu, odczarowany! Archimedeles zaś wyczytał to w gwiazdach!... A Czarna Księżna pękła ze złości i gniewu!

I nie ma Czarnej Księżny! A przyleciał trzeci wicher, który poleciał za drugim kamratem, i tak zaświszczał:

— Wracaj, Jasiu, na zamek! Wracaj, bo czeka cię tron książęcy!

Jaś z Hanką zawrócili więc i udali się do Cieszyna. Szli i szli, aż przyszedli. A mieszcianie już się zwiedzieli, że ich książę jest odczarowany i że wraca do Cieszyna. Prędko przeto postawili bramę triumfalną, zwołali muzykantów, wystroili się i czekali. A gdy ujrzeli księcia Jasia i Haneczkę, zaczęli wiwatować i krzyżeć, żeby żyli sto lat i jeszcze trochę dłużej, wyrzucali kapelusze w górę, a muzykanci grali, a dzwony były radośnie ze wszystkich cieszyńskich kościołów i było wielkie wesele i radość. A potem jeszcze książę Jaś kazał trumnę ze zwłokami Czarnej Księżny włożyć na zwykły wóz zaprzężony w cztery czarne woły.

— Niech ciągną wóz z trumną mojej matki — rzekł Jaś — a tam, gdzie staną, pogrzebiemy ją!

I cztery czarne woły ciągnęły zwykły wóz z trumną i ciągnęły, aż dociągnęły go na wysokie wzgórze za Cieszynem, które nazywa się Kościelec. I tam rozstała się pod nimi ziemia i pochłonęła cztery czarne woły, wóz, trumnę, a z trumną nieboszczkę Czarną Księżną. A potem jeszcze książę Jan — bo tak teraz kazał się mianować i tak podpisywał się na pergaminach — objął tron po swej matce, ożenił się z Haneczką i oboje długo żyli, i mieli się dobrze, a poddani w całym cieszyńskim państwie mieli się także dobrze i dobrozeczyli Janowi i Haneczce. Na Górze Baraniej zaś rosła rajska jabłonka, co roku rodziła jabłka kwaśne jak ocet siedmiu złodziei, a zbójnicy już nie zabijali, lecz chodzili w puszczy z lełujami w dłoni, z kozikami kupionymi na odpuszczenie za pół złamanego szeląga i śpiewali nabożne psalmy. Ludzie znowu sporządzili, nie kradli, nie dolewali wody do mleka, gdy wieźli je do miasta, nie życzyli nikomu, by udławił się podczas obiadu gorącym ziemniakiem, nie zamierzali nikogo utopić w łyżce wody, a przeciwnie dobrozeczyli sobie i dobrze było na świecie. A o tym wszystkim dowiedziałem się z kroniki Archimedelesa, a co w niej wyczytałem, wiernie tutaj spisałem. I koniec!